ROZMAITOŚCI.

Dnia 7. grudnia, Nr 49. roku 1844.

Bracia de Laar.

SZKICA Z ŻYCIA MALARZY.

Claude Gelée, zwykle *Claude Lorrain* zwany, posiadał jednę z najprzepyszniejszych wil w Rzymie, leżącą na pochyłości pięknego wzgórza. Wzniosłe przez samego właściciela zasadzone włoskie topole ocieniały tę ozdobną ustroń malarza.

Pewnego razu zaprosił był *Claude* kilku przyjaciół na skromny artystowski obiadek, który w cieniu ogrodowych drzew zastawiono. Znajdował się tam rzeźbiarz *Duquesnoy il Fiamingo*, młody przystojny mężczyzna z czarnym wąsem i takąż bródką, z szyderczém nieco spojrzeniem i otwartą wesołą twarzą, otoczoną bujnym, rzęsisto po ramionach spadającym włosem. Inaczéj wcale wyglądał jego sąsiad, malarz Piotr *de Laar il Bamboccio*, istna karykatura postaci ludzkiéj. Ten mały gruby karzeł z dużym garbem, z wąsami jak szczeć ostrémi, i z obwisłą wargą, był z pozoru tak śmieszny jak jego potworne obrazy, od których przydomek otrzymał. Przeciwnie jego młodszy brat, malarz Roland de Laar, piękny, wysmukły młodzian, zdawał się jednoczyć w sobie wszystkie ujmujące zalety, jakie natura bratu jego tak srogo odmówiła. Ztądtéż panowała pomiędzy oboma braćmi waśń nieustanna, w któréj złośliwy Piotr dręczył wszelkiémi sposoby ciérpliwego Rolanda. Oprócz pomienionych, był tam jeszcze malarz Albani z Bolonii, wraz z swoim współtowarzyszem Guido Reni, obaj przystojni, młodzi ludzie, z wymuskanémi bródkami i krótko spuszczonym włosem; daléj stary Joachim Sandrart, nauczyciel i najwierniejszy przyjaciel Lorraina, potężna, prawie olbrzymia postać; na samym przedzie siedział gospodarz, Claude Lorrain, odznaczający się dużą kędzierzawą brodą, surowém, nieco nawet melancholijném wejrzeniem i ciągle zmarszczoném czołem.

Śród wesołych żartów i śmiéchów upływał czas uczty. Na zakończenie dano wyborne paszteciki, które natychmiast rozchwycono.

»Zaprawdę« — ozwał się hoży Fiamingo, wsuwając zgrabną ręką pasztecik w usta — »któżby temu uwierzył, że nasz *Claude* jest równie biegłym w sztuce kucharskiéj jak w sztuce malowania krajobrazów! On, piérwszy pejzażysta wszystkich narodów!«

»Nie dziwcie się mojéj sztuce kucharskiéj,« odrzekł gospodarz. »Wszak ja do mojegp 36go roku nic innego nie robiłem jak kotlety. Mój ojciec był ubogim pasztetnikiem, a ja byłem tak niesłychanie ograniczonym, iżem się niemógł nigdy nauczyć: jak się ciasto na paszteciki gniecie, ani jak się nań piec rozpala. Mój wuj Piotr, chciał ze mnie koniecznie księdza zrobić, a ja nie mogłem się w żaden sposób czytać nauczyć. Zato chłostał mię tak nielitościwie, żem po całém ciele pełno miał siniców. Natenczas nie wiedziałem jeszcze o moim do malarstwa talencie i nie cieszyłem się tym sinym kolorem na moich plecach. Nie mogąc znieść dłużéj, zebrałem się potajemnie, i w towarzystwie kilku flamandskich malarzy, jako ich sługa, przybyłem do Rzymu. Tu ujrzałem was mistrzu Joachimie w Tivoli malującego przedmioty z natury. Jakieżto, o mój Boże! uczucia obudziły się we mnie, gdym tak ukryty za krzakiem, przypatrywał się waszéj cudotwórczéj tajemnicy brania pod penzel naturę! Cała tajemnica waszego umnictwa wzejszła we mnie jak jasna gwiazda. Wystąpiłem przed was ze łzami w oczach, abyście mię w naukę wzięli. Wyście chętnie przyjęli moję prośbę, nie obchodziliście się zemną jak ze sługą, lecz odkryliście ciekawemu zasłonę swojéj sztuki, i, odtąd jesteśmy najlepszymi przyjaciołmi, — bo uczciwy uczeń, wdzięczen jest swemu twórcy. Nie prawdaż mój Gioachimo?«

Sandrart ścisnął serdecznie podaną sobie rękę, i z nową pożądliwością rzucili się wszyscy do pasztecików.

Po skończonym obiedzie pousiadali goście na ławkach pod drzewami, oddając się milemu

spoczynkowi; sam tylko pusty Fiamingo nie dawał nikomu spokoju, droczył się ze wszystkimi. Najwięcéj pocisków żartobliwych doznawał od niego Piotr de Laar, który dla swéj potwornéj postaci, raczéj na litość niźli na śmiéch zasługiwał, a przecież przy tém wszystkiém tak był próżnym, iż nigdy przycinków na swoję osobę wymierzonych przebaczać nie umiał. Dla tego téż na każdy żart Fiaminga, jadowitém spojrzeniem odpowiadał, co téż témbardziéj swawolę Fiaminga zaostrzało.

»Czy pamiętasz, mały Bamboccio,« — zakończył Fiamingo swoję długą szyderczą swawolę — »jak przy twoim wjeździe do Rzymu, strażnik u bramy oznajmił: iż tylko koń z przypiętémi butami przez bramę przeszedł, gdyż skurczonego na nim jeźdźca wcale nie spostrzegł.

»Tego sobie nie przypominam,« odrzekł Piotr z jadowitém spojrzeniem. »To jednak pamiętam, iż ciebie zapytał: gdzie twój masztalerz mieszka, aby go jeździć na koniu nauczył.«

»Płaski dowcip, mój kochany Bamboccio. Na tobie, widzę, potwierdza się przysłowie: *Chi lava la testa all' asino, perde il tempo ed il sapone!* (Szkoda czasu i mydła na zmycie głowy osłu.)

»*Malfattore!*« ryknął de Laar, chwyciwszy nóż ze stołu, i gdyby nie rącza zgrabność Fiaminga, który w téj chwili ku pięknéj Klaudynie, córce gospodarza poskoczył, byłoby mogło wydarzyć się nieszczęście; ciśnięty bowiem nóż przeleciał blisko pomiędzy obydwojgiem i utkwił mocno we drzwiach.

Pożałował natychmiast swego uczynku, widząc iż przelękniona Klaudyna Gelée padła zemdlona na ziemię. Lotem błyskawicy rzucił się Roland de Laar ku pomocy, lecz przekonawszy się iż nie była ranioną, cofnął się wstydem zarumieniony, że tym mimowolnym pośpiechem wyjawił tajemnicę serca swojego. Piotr zaś błagając przebaczenia, potoczył się do nóg Klaudyny, gdyż i jego także zadrasnął głęboko promień jéj jasnych oczu, a zerwawszy się, przyskoczył z świéżo rozbudzoną wściekłością do swego brata, aby go za jego bezczelność — jak jego troskliwą obawę nazwał — przykładnie ukarać.

Klaudyna uciekła się w ramiona swojego ojca, gdzie wkrótce spokojność odzyskała. Nie podobała się wszystkim wściekła złość de Laara, a właściwa pobudka tego wszystkiego, Fiamingo, siedział swawoląc przy boku pięknéj Klaudyny, która na nowo jego krotochwilami rozweselona, zaczęła się śmiać serdecznie, zwłaszcza gdy on skrzypce Piotra Bamboccięgo pochwyciwszy, do grania się zabrał. Na to jednak obruszyli się wszyscy na swawolnika, i powstała gwałtowna wrzawa, którą sam tylko Fiamingo uspokoić zdołał, wołając: »Bamboccio! Bamboccio! Zagraj nam ulubioną piosnkę pięknéj Klaudyny; wiész, owę, którą Roland ułożył, a do któréj ty muzykę dorobiłeś. Poussin ją zawsze śpiéwać lubił. Ach Poussin, nasz Poussin, gdzież on teraz bawi! — No, Bamboccio, czy będziesz ty grał dzisiaj?«

»Na to zapewne,« odrzekł de Laar, zgrzytając zębami ze złości — »abyście znowu ze mnie szydzili?«

»Zaprzestańcież tych swarów,« prosiła go Klaudyna, »i zagrajcie mi piosnkę, którą wasz brat ułożył. Uczyńcie mi tę przyjemność, dobry Bamboccio!«

»Także to wielkie wrażenie na pięknéj Klaudynie zrobiła jego poezyja? I dla tego jedynie chcecie ją słyszéć,« rzekł złośliwy de Laar. »Wstydź się Klaudyno być tak próżną pochlebnicą. Teraz to tylko, kiedy mię potrzebujesz, zwiesz mię dobrym Bamboccio!«

Klaudyna zaczęła płakać. Uszczęśliwiony Roland stanął śmiało przed bratem i patrzył mu jako zwycięzca w oczy. Ojciec Gelée wyłajał należycie brzydkiego napastnika. »Azaliż musisz zawsze swojémi jadowitémi słowy rozżalić biédną dziewczynę? O ile mi wiadomo, nie lubi ona téj piosnki, ani dla tego, iż ją Roland ułożył, ani żeś ty nutę do niéj dorobił. Zróbcie jéj więc przyjemność i zagrajcie tę piosnkę.«

Roland de Laar wahał się zacząć. Piotr złagodzony proszącym wzrokiem Klaudyny, zagrał po mistrzowsku, a Roland, rzucając płomienne spojrzenia na Klaudynę, zanucił z najtkliwszém uczuciem.

Skończyli. Nastąpiła krótka chwila niemego zachwycenia się, którą przerwały grzmiące oklaski. Ozwano się jednogłośnie z prośbą o powtórzenie przynajmniéj ostatniéj zwrotki, któréj czarowna nuta przemówiła tkliwo do serca. Pochlebiony Piotr de Laar, jako kompozytor, spojrzał pytającym wzrokiem na uwielbioną Klaudynę, lecz ona nie odpowiedziała na jego zapytanie, bo jéj łzami przyćmione oczy patrzyły smutno w ziemię, a jéj piękna główka, jakby złomana lilija, na piersiach owisła.

»Ach Madonno!« zawołał de Laar. »Czyż już niémasz ochoty posłuchać piosnki? Zaléwasz się łzami? Czyż cię ta nuta tak wzrusza?«

»I bardzo; bądź tak grzeczny Bamboccio i zagraj mi ją raz jeszcze. Miłą jest sercu mojemu ta boleść, jaką ona w piersi mojéj obudza.«

Powtórzono piosnkę. W téjże saméj chwili przy ostatniéj zwrotce zabrzmiał zpoza krzaków najpiękniejszy głos męzki jako wtór w harmonii najmilszego trójdźwięku.

»Poussin!!« krzyknęli wszyscy. Wymieniony wystąpił zpoza krzaków, a całe to warzystwo otoczyło go w powitanie z otwartémi ramiony.

Piękne, długim włosem ocienione oblicze Poussina zajaśniało radością, gdy jego tęskliwy wzrok padł na Klaudynę, która jasne promienie swojéj źrenicy utkwiła głęboko w jego źrenicę.

Powitawszy wszystkich koleją, uścisnął swojego starego przyjaciela Claude Lorraina, a wreszcie jego nadobną córkę, która w roskosznem zapomnienia daleko dłużéj na ukochanéj piersi spoczęła, niż tego przepisy obyczaju pozwalały. Ich usta zetknęły się mimowolnie i — »o, mój Nikolo!« szepnęła w płomiennym pocałunku.

Nikt jednak tego nie spostrzegł, prócz Rolanda de Laar, który z śmiertelną bladością w twarzy, ujrzał całe szczęście swojego życia, najpiękniejsze nadzieje swéj przyszłości zniszczone. Niewymowną przytłoczony boleścią wlepił zamarłe oko w kochanków i szepnął głosem zrzeczenia się: »Jeźlim nie twoim kochankiem, tedy przynajmniéj najwierniejszym z przyjaciół.«

Poussin ani się nie domyślał jak srogi cios zadał w téj chwili drogiemu przyjacielowi, lecz hoży i radośny obrócił się ku niemu i rzekł: »Witaj mi mój drogi Orlando! Piękna Francyja nie zatarła twojego obrazu w mojém sercu. Ale cóż ci to? Czyś chory! Bladość powleka lica twoje.«

Te słowa były wyrzeczone tak szczérze, iż Roland na wszelki żal do swego szczęśliwego spółzawodnika zapomniał, i z bolesném wejrzeniem ku Klaudynie, rzucił się w objęcie przyjaciela. Silny, i znacznie od niego starszy Poussin podniósł ku sobie omglone łzami lice pięknego młodziana, i rzekł doń zcicha: »Czyż moje słońce i tobie świeci? Żal mi cię!«

»Pozwól mi więc« odpowiedział Roland z serdecznością — »być waszym przyjacielem, jeźli Klaudyna swoje anielskie serce już tobie oddała. Dla was obojga gotów jestem życie poświęcić.«

Poussin zbliżył Klaudynę do siebie i łącząc jéj rękę z ręką Rolanda, rzekł: »Moja piękna narzeczona znajdzie w Orlandzie najdzielniejszą podporę, gdyby mnie los okrutny chciał kiedy oderwać od jéj boku. Orlando pozostanie, naszym przyjacielem. Lecz teraz, moi kochani — towarzystwo przysłuchuje się naszéj potajemnéj rozmowie; musimy ją skończyć.« — I zwróciwszy się do innych: »Przebaczcie,« — mówił daléj — »że najpiérwsze chwile mego przybycia poświęciłem téj pięknéj parze, która sobie wdziękami ciała i duszy tak zgodnie odpowiada. Teraz jestem już waszym.«

Sam tylko ojciec Gelée zrozumiał co Poussin myślał i skinął uprzejmie na swego przyszłego syna. Z osobliwszego bowiem dziwactwa był Poussin bardzo tajemniczym w swojém staraniu się o Klaudynę, i chciał teraz skorzystać z sposobności, aby sobie zrobić żarcik z przyjaciół, nie wiedząc jak smutne zagrażało mu przeznaczenie. Zamierzony żarcik udał mu się zupełnie; Piotr de Laar widząc połączenie rąk brata i Klaudyny, słysząc dwuznaczne słowa Poussina, ściągnął to wszystko do mniemanego zaślubienia Klaudyny z Rolandem, którego w głębi swéj duszy nienawidził.

Poussin musiał usiąść przy stole i opowiedzieć im wypadki swojéj podróży do Francyi, opisać swoje łaskawe tam przyjęcie przez kardynała Richelieu, wymienić wykonane tamże obrazy, wreszcie zdać sprawę z niegodziwych podstępów, jakich inni francuzcy malarze dla oddalenia go z Paryża używali.

»Nakoniec« — zawarł Poussin opowiadanie — »uprzykrzyły mi się te nieustanne intrygi, i pod pozorem, jakobym chciał sobie po żonę do Włoch pojechać, uciekłem z Francyi i jestem znowu tutaj, aby się nigdy więcéj z wami nie rozstać.«

»Sprawdźże swoję wymówke i wyszukaj sobie pod pięknem włoskiém niebem jaki miły k...tek dla swego serca.«

»I to się stanie. Pozwólcie mi tylko niech cokolwiek odetchnę. Najprzód muszę odwidzić kawalera del Pozzo, mojego szlachetnego mecenasa. Ileż to niezasłużonych pochwał otrzymałem już od tego zacnego męża! Z jakąż delikatną, spaniałomyślną hojnością zabezpieczył on moję przyszłość. Jemu przedewszystkiém winieniem oddać wdzięczność. Mam téż kilka obrazów dla niego. Pomiędzy innémi zacząłem obraz siedmiu sakramentów.«

»Będzieto wielkie dzieło.«

»Tak się spodziewam. Lecz teraz moi przyjaciele, muszę was pożegnać. Noc blisko, a mój gospodarz czeka na mnie. Bywajcie wszyscy zdrowi, do zobaczenia. Jutro jestem już waszym na zawsze.«

Po serdecznych uściskach oddalił się z towarzystwa. Spojrzenia Klaudyny towarzyszyły mu najdłużéj. Piotr de Laar zniknął w najciemniejszéj gęstwinie.

Wkrótce rozeszła się i reszta towarzystwa. Piotr de Laar czatował na swego brata, a spostrzegłszy go ze zwilżoną łzami twarzą przez aleję idącego, rzucił się wściekle na niego.

»Tyż niegodziwcze śmiesz swoję brudną rękę wyciągać po anielskie wdzięki Klaudyny! Jestże to istotnie twoim szalonym zamiarem?

— Nieszczęsny, zamorduję cię jeżli jeszcze słówkiem o miłości do niéj przemówisz!«

»Niepowściągniony zapaleńcze!« odrzekł Roland, mierząc brata ostrém spojrzeniem. »Dowiédz się, żem się już wszelkich zrzekł nadziei, gdyż inaczéj, tylko wraz z życiem dałbym sobie wydrzéć Klaudynę. Lecz ona mnie nie kocha!«

»Nie kocha ciebie!?« jęknął Piotr. »Dzięki piekłu za to!«

»I czegoż się tém tak cieszysz?«

»Że ty jéj godnym nie jesteś.«

»Już dawno to przewidywałem.«

»Godniejszy ją otrzyma.«

»Jeden z najgodniejszych!«

»Podchlébiasz!« mruknął Piotr z upodobaniem.

»Bynajmniéj. Nikolo jest niezawodnie jéj godnym.«

»Nikolo Pussino!?«

»Tak jest. Jegoto ona kocha.«

»Niechże go piekło pochłonie!« To rzekłszy pobiegł gnany szaloną żądzą zemsty.

Roland pospieszył za nim, aby ile możności zapobiédz nieszczęściu.

*

Dopiéro przy gospodzie, gdzie P[illegible] mieszkał, zatrzymał się opętaniec. [illegible] schodach do pokojów Poussina, al[illegible] nie znalazł. Z podwojoną wściekłości[illegible] biegł ze wschodów, i pognał jak wicher [illegible] okna Klaudyny gdzie się Poussina zastać spo[illegible]dziewał. Roland dopędził swego obłąkanego brata właśnie pod topolami willi Lorraina.

»Na rany boskie, bracie, [illegible] zamyślasz!«

»Milcz chłopcze, lub b[illegible]dziesz tego żałował! Na szlachetną poluję tu [illegible]wierz[illegible]ę. Mój sztylet krwi pragnie!«

»Jeźli się odważy[illegible] [illegible]odnieść rękę na Poussina, będziesz miał ze [illegible] do czynienia. Zawołam o pomoc! [illegible] po moim trupie dostaniesz się do [illegible]

Piotr rz[illegible] zapamiętale na brata i za piers go [illegible]wszy rzekł wściekle: »Jeźli słowo pisn[illegible], padniesz trupem u nóg moich! Ale — [illegible] właśnie nadbiega zwiérz, na które [illegible]atuję!«

Roland ujrzał z przestrachem Poussina nadchodzącego swobodnie, bez troski, i krzyknął co miał siły: »*Guardati, Pussino! Guardati!* (Strzeż się! Strzeż się!)«

»*Bestia!*« ryknął Piotr i utkwił w szaleństwie sztylet w piersi braterskie, poczém pieniąc się z gniewu padł jak nieżywy na ziemię.

Na wezwanie Poussina przybiegł Claude Lorrain z domownikami. Klaudyna wybladła przestrachem p[illegible] [illegible]iła się nad umiérającym Rolandem; on [illegible]zwarłszy po raz ostatni oczy, szepnął ko[illegible]m głosem: »Umiéram za ciebie i Nikola[illegible] — a gdy to wyrzekł, zawarły się oczy jego na [illegible]wieki.

Ciało Rolanda spoczywało na piersiach Klaudyny. [illegible] jéj była krwią zbroczona. Spojrzała [illegible]no na swoje krwawe łono i rzekła: »Nik[illegible] to nas na wieki rozłącza!«

[illegible] dotrzymała słowa. Wszelkie namowy kochanka nie zdołały jéj skłonić aby mu rękę oddała. Wstąpiła do klasztoru i modliła się [illegible] życie za duszę szlachetnego Rolanda.

[illegible]komyślny Poussin ożenił się późniéj z siostrą Kaspra Poussina i żył z nią długo szczęśliwie ale bezdzietnie. Umarł roku 1665; pochowano go w kościele świętego Wawrzyńca.

Piotr de Laar nie pokazał się więcéj we Włoszech. Zjawił się był w Amsterdamie, lecz przygnieciony brzemieniem swojéj zbrodni, żył w nieustannéj ponuréj melancholii i utopił się [illegible]eszcie w głębokiéj studni w Harlem.

Ksiądz Mathew,

APOSTOŁ WSTRZEMIĘŹLIWOŚCI. *)

Żyje w teraźniejszych czasach w Wielkiéj Brytanii człowiek prosty, irlandzki kapłan, który uskutecznia między narodami prawdziwą rewolucyję — rodzaj moralnego odrodzenia się. Mówimy tu o księdzu Mathew, apostole wstrzemięźliwości. Rezultaty które osiągnął, mogą mu sprawiedliwie służyć za rękojmię wdzięczności, którą mu w hołd przynosi wszelki przyjaciel człowieczeństwa. Pięć już milijonów Irlandczyków stoi pod chorągwiami Titotalizmu (zupełnéj wstrzemięźliwości), a ta ogromna spokojna armija ludzi, pijących tylko wodę, powiększa się właśnie w téj chwili nowémi zaciągami ludu zbiegającego się na głos kapłana ze wszystkich większych miast angielskich.

Piérwsza myśl o zawiązaniu towarzystwa zupełnéj wstrzemięźliwości, nie należy temu, który późniéj stał się jéj głównym opowiadaczem. Już dawno, jak wiadomo, istniało społeczeństwo wstrzemięźliwości w Anglii i w zjednoczonych stanach Ameryki, i w Niemczech, a w ogólności, we wszystkich prawie protestanckich państwach. Dyssydenci którzy zawsze piérwsi podnosili głos we wszelkich filozoficznych i filantropijnych przedsięwzięciach — np. oswobodzeniu czarnych niewolników i t. d. — i w niniej-

*) Artykuł ten, chociaż jeszcze w przeszłym roku pisany, nie zdaje nam się, aby dla nas nie był i teraz na czasie. *Red.*

szém wydarzeniu piérwsi pomyślili zrobić krok od umiarkowanego używania, do zupełnéj wstrzemięźliwości. Kilku irlandzkich kwakrów, independentów i anabaptistów połączyło się i zawiązali w Kork piérwsze społeczeństwo zupełnéj wstrzemięźliwości od wszelkich gorących napojów. Usiłowania ich nie miały pożądanego skutku. Nie posiada protestantyzm téj władzy nad umysłem i wolą człowieka, która jest potrzebną ażeby wytępić zakorzeniałe nałogi, wzbudzić skruchę, wyrzéc się prawdziwych lub wyobrażonych przyjemności życia, a skłonić do silnego i nieodmiennego postanowienia na przyszłość; i z tychto powodów wspomnieni protestanci z własnéj woli udali się do księdza Mathew z usilną prośbą, ażeby przyjął na siebie tę pracę, którą uznali być wyższą nad swe siły. Ksiądz ten, będąc łagodnego i skromnego charakteru, nie czuł w sobie najmniejszego popędu do tak śmiałego przedsięwzięcia, i ani wyobrażał sobie możności tak świetnych postępów, jakie następnie osiągnął; długo się wymawiał, aż nareszcie zezwolił, nie marząc bynajmniéj o tém, co się późniéj stało. Zawiązać towarzystwo wstrzemięźliwości z kilkuset osób, zdawało mu się naówczas najszczytniejszém przedsięwzięciem. W roku 1838 zagaił piérwsze publiczne zgromadzenie. W krótkim czasie członki społeczeństwa *(teatotallere)* zaczęli przybywać ze wszystkich części Irlandyi, i z najodleglejszych krańców królestwa; tysiące mężczyzn i kobiét rozmaitego wieku zdążali do Kork, ażeby złożyć ślub wstrzemięźliwości *(pledge)* przed ojcem Mathew. Lud wyłącznie tylko w nim pokładał wiarę, a osoby używające gorących napojów i pragnące nawrócić się na drogę prawdy mówili: lepiéj pójść kilkadziesiąt mil ażeby osiągnąć błogosławieństwo od samego ojca Mathew. — Naówczas radzili mu przyjaciele ażeby zwidził wszystkie hrabstwa, lecz on długo opiérał się, przywodząc przyczyny, które dowodzą z jego strony głęboką znajomość serca ludzkiego. »Cielesne utrudzenie« — mówił on — »wraz z podróżą a osobliwie podróżą pieszą, robi głębokie wrażenie na umyśle i upokarza ducha;« i tak przez kilka lat przychodzili nawróceni do niego ze wszystkich stron Irlandyi; Kork był celem ich pielgrzymstwa, a słowa: »iść do Kork« *(going to Cork)* osiągnęły narodowe znaczenie. Nareszcie ojciec Mathew powodowany powszechném dobrem, skłonił się przedsiębrać pastérskie podróże. Wszędzie naród gromadził się około niego i dziś po pięcioletniéj działalności, jak się wyżéj rzekło, w saméj Irlandyi liczą pięć milijonów jego prozelitów.

Ojciec Mathew rozciągnął teraz i na Anglię swe prace, tak pomyślnie w Irlandyi rozpoczęte. Piérwéj zwidzał już północne hrabstwa lecz nie bywał jeszcze w Londynie, i dopiéro w lat kilka rozpoczął swą krzyżową pielgrzymkę po stolicy. Jako Irlandczyk, i katolik, i kapłan, nie mógł spodziéwać się takiego uroczystego przyjęcia, takiego współczucia, uprzejmości i współdziałania, jak w swéj ojczyźnie. Tu wypadało mu piérwszy raz spotkać się z narodem protestanckim mędrkującym, tu, niewspominając już nic o rozmaitych narodowościach i wyznaniach wiary, wypadało mu tknąć się obyczajów angielskich, tak różnych od irlandzkich, i które nie mogły mu obiecywać tych postępów, które piérwéj uwieńczały jego trudy. Wszelakoż przyznać należy, że wszystkie przeszkody, które znajdował zacny missyjonarz w Anglii, pochodziły wyłącznie od najniższych warstw społeczeństwa, i że tak arystokracyja, jak też i oświécona klasa narodu, chociaż po największéj części z protestantów złożona, przyjęła go z czcią i uprzejmością. — Przyczyniła się do tego poważania i ta okoliczność, że czcigodny ten kapłan pochodzi z starożytnéj szlachetnéj rodziny irlandzkiéj; w Anglii zaś ci nawet, którzy za największych demokratów uchodzą, są zawsze z szczególniejszém uszanowaniem dla starożytnego rodu i drzewa genealogicznego. Ksiądz Mathew przybył zatém do Anglii nie jako zupełnie obca osoba. Ze względu na urodzenie należał do arystokracyi; trudy i poświęcenie się jego zbliżały go do pospolitego ludu. Gdy tylko zjawił się w Londynie, otoczyły go ze wszech stron powitania: ministrowie w parlamencie oddają zupełną sprawiedliwość czystym jego zamiarom, lord major publicznie pochwala jego kazania i nauki, najznakomitsi literaci, a między innymi pani Norton, najpiérwsza współczesna autorka, i bankier Samuel Rogers, autor dzieła *»Pleasures of Memory«*, odwidzają go, a nawet protestanckie pisma peryjodyczne z szacunkiem i poważaniem wspominają o nim, wyższa arystokracyja ubiega się o zaszczyt mieć go u siebie na obiedzie, inni zaś jak Lord Stenon, bierze go pod swą protekcyję i towarzyszy mu na zgromadzeniach, *hustings* zwanych. Ciekawą jest rzeczą śledzić za zacnym kapłanem po ulicach Londynu i jego okolicy. Najprzód musimy wspomnieć jakim sposobem można zostać członkiem tego społeczeństwa i jakiemi formami można osiągnąć godność titotallera. Wotum czyli ślub składa się z słów następujących: »Ślubuję wstrzymywać się od używania wszystkich gorących »napojów, wyjąwszy gdy mi je lekarz w słabości zapisze, i wszelkiémi mojémi siłami starać

się będę skłonić też innych ażeby wstrzemięźliwość zachowali.« — Ślub ten składa kandydat titotallerów klęczący. Kapłan błogosławi go słowami: »Niech cię Bóg wszechmogący błogosławi i udzieli siły zachować te śluby.« Potém wręcza mu medal i bilet na członka społeczeństwa. Medal kosztuje szyling (30 kr. m. k.) a bilet jeden penny (najdrobniejsza angielska moneta). — Przeciwnicy ojca Mathew, po największéj części gorzelnicy i piwowary, usiłowali przekonać publiczność, że rozdawanie medalów nic innego nie jest, jak tylko zręczna spekulacyja pieniężna, lecz bezzasadność téj potwarzy wkrótce udowodnioną została i przekonano się, że wydatki społeczeństwa wstrzemięźliwości znacznie przewyższają dochody. Długi czas rozdawał ksiądz Mathew medale bezpłatnie, tak dalece, że nareszcie wpadł w długi wynoszące 5000 funtów szterlingów czyli 50000 złr. m. k. i teraz jeszcze rozdaje po szylingu dzieciom, które chcą złożyć ślub wstrzemięźliwości. Powszechnie wiadomo że nie przyjął kilkakrotnie ofiarowanych mu znacznych darów, i że każdego czasu może zebrać taką sumę, jakiéj tylko zażąda. »Kwakry« — rzekł on niedawno — »na piérwsze moje żądanie gotowi złożyć 50,000 funtów szterlingów.«

Medal jako znak powierzchowny, powinien przypominać titotallerowi uczynione wotum: noszą go ustawicznie na szyi na zielonéj lub błękitnéj wstędze. Ponieważ częstokroć razem więcéj jak tysiąc osób zgromadza się dla złożenia ślubu trzéźwości; więc zbliża się ich po sto osób w jednym oddziele przed cokolwiek nad ziemią wzniosłe rusztowanie i klęka; ksiądz Mathew przystępuje do każdéj osoby, odbiéra ślub, błogosławi i kładzie na nią ręce. Protestantom wolno nie skłaniać kolan, lecz oni zawsze prawie naśladują powszechny przykład. Tym sposobem zwidził apostoł część Londynu zwaną Westminster: przez dwanaście godzin śród największéj ulewy deszczu, znajdował się na hustyngsie pod otwartém niebem bez pokarmu i napoju. Udzielał błogosławieństwa oddziałom składającym się z dwudziestu osób razem: »Zbliżcie się przyjaciele moi,« mówił on, »Anglicy, Irlandczycy, i Szkoci; wyrzeknijcie się tego, co było przyczyną tyln występków popełnionych w naszéj drogiéj ojczyźnie; skłońcie wasze kolana i nie wstydźcie się przed ludem; damy i panowie robili toż samo co wy teraz robicie; idźcie za przykładem tego szanownego lorda Stenona, który uczynił ślub wstrzemięźliwości tymże samym sposobem.« Nowonawróceni wszelkich stanów, wyznań, kondycyj i zatrudnień, tłumami garnęli się ze wszystkich stron; można było widziéć i hiszpańskich mnichów i angielskich duchownych, kwakrów, prezbiteryjanów, anabaptystów i Żydów, i żołnierzy i niewiasty, i konstablów i policyjnych sierżantów, i szkockich górali z dudami, na których głośno wygrywali po swojemu wdzięczność.

Podobnego rodzaju narodowe zgromadzenia czyli mitingi *(meetings)* odprawiały się powszechnie z wielką uroczystością. Najprzód postępowali członkowie wstrzemięźliwości ceremonijalnym, poważnym krokiem z chorągwiami, na których były wyobrażone różne godła i amblemata, naprzykład: Mojżesz wyprowadzający strumień wody ze skały; potém szły dzieci z katolickich lub innych szkół, panienki w białych sukniach, parami, niosąc białe jedwabne chorągiewki, przyozdobione rozmaitémi napisami. Sam ojciec Mathew unikał troskliwie wszystkiego coby mogło mieć postać religijnego prozelityzmu, i starał się zawsze przedstawić dzieło wstrzemięźliwości jako dzieło ogólne, użyteczne i do wszystkich klas i wyznań ludu ściągające się; lecz jego irlandzcy katoliccy stronnicy, uwodząc się gorliwością, częstokroć pozwalali sobie niestosownych oznak religijnego przekonania. I tak razu pewnego na jednym z londyńskich mitingów, katolickie społeczeństwo z zielonémi szarfami, z kościelnym krzyżem, zatknęło wielką chorągiew z zielonéj jedwabnéj materyi, na niéj znajdował się z jednéj strony obraz ś. Patryka, patrona Irlandyi, i ojca Mathew, a na drugiéj ś. Eliasz klęczący i modlący się przed dwoma sercami krwią zbroczonémi i krzyżem przeszytémi. Dodawszy do tego okoliczność że ojciec Mathew przyjechał otwartym pojazdem w towarzystwie kilku dam na zgromadzenie w dzień niedzielny, w który w Londynie nie używa się pojazdów, sprawiło to wielkie zgorszenie. W tę samę chwilę wyszli protestanci z swego zboru w pobliskości będącego, a ujrzawszy zieloną chorągiew, silnie się wzburzyli i zaczęli hałasy wyrabiać. Jeden z nich obróciwszy się do kapłana, wyrzucał mu, że on i jego współwyznawcy przybyli do Londynu jako titotalery a nie jako missyjonarze, a zatém chorągiew z ich świętymi powiéwać nie powinna. Irlandczycy wrzasnęli: »Precz z nim, zrzucić tego bluźniercę!« — »Wszystko to może uchodzić w Irlandyi,« odrzekli przeciwnicy, »ale tu nie ma miejsca. Precz z chorągwią!...« Nieład zaczął się wzmagać i obadwa stronnictwa gotowe były rozpocząć walkę. »Dla miłości Boga!« wołał ksiądz Mathew swoim stronnikom. »Schowajcie chorągiew! Gdyby na niéj był wyobrażony ś. Patryk i ja, niby Anglicy nie rzekli, zaś ś. Eliasza oni nie lubią.« Nareszcie chorągiew sprzątniono, a miting trwał daléj w porządku i bez przeszkody.

Drugiego rodzaju opozycyją częstokroć nader zabawną stawili szynkarze wódki i piwa. Naprzeciw mitingu wstrzemięźliwości, wznosili swój miting, ołtarz naprzeciw ołtarza. O parset krokow od hustingsu wstrzemięźliwości, ustawiali podobnież podwyższone rusztowanie z beczkami, i szczodrze ugaszczali gorzałką przechodzącycb. Jak tylko pokazali się titotalery z zielonémi przepaskami i medalami, spotykali się z nimi anti-titotalery z przypiętémi na kapeluszach biletami z napisem: »Członek chmielowego klubu;« powieszawszy sobie na szyi kieliszki i kubki, które oni nazywali swémi medalami. Gdy ojciec Mathew chciał mówić, zaczynali przeciwnicy krzyczéć, hałasować, gwizdać i ryczéć, tak, że nie był w stanie ani słowa przemówić; naówczas milcząc zstępował z mownicy odbiérać śluby i błogosławić nowonawróconych; lecz w tę samą chwilę zwolenniki piwa i *ginu*, silno tłoczyli się na tych, którzy klęczeli, i przewracali naciskiem jednego na drugiego. Druga taktyka anti-titotallerów była, że po całym placu gdzie miting miał się odbywać, stawiali namioty, budy i ruchome szynkowe szragi z piwem angielskiem, *gin*, *gingerbeer* (imbirowe piwo), i sprzedawali po zniżonych cenach. Nieszczęśni, którzy przybyli z szczérą chęcią nawrócenia się na lepszą drogę, znajdowali za każdym krokiem kamień usterku, spostrzegali na wszystkie strony mnóstwo Heb i Ganimedów w najpowabniejszych postaciach, i tysiące rąk podających im czarę roskoszy; ulegali nareszcie pokusom i więcéj jeszcze jak niegdyś zanurzali się w grzéchu, którego wyrzec się pragnęli.

Pomimo te wszystkie przeszkody, pomnożył ojciec Mathew w Londynie zastępy titotallerów więcéj niżeli na ośmdziesiąt tysięcy nowozaciężnymi, a późniéj udał się zwidzić północne rękodzielnicze miasta. Tam on znajdzie nędzę i zbrodnie, znajdzie ludność, jak naprzykład w Paisley, która wydaje dwa milijony za gorące napoje tegoż samego roku, w którym żebrze w parlamencie wsparcia; znajdzie miasta jak Glasgow,

w którym 3000 szynkowni jedynie tylko napoju *whiskey* (rodzaj gorzałki) i gdzie za same trunki rocznie suma 25 milijonów wychodzi, lub też jak Sheffild, w którym wyszynkują rocznie piwa za 10 milijonów. W samym Londynie corok wychodzi gorących napojów za 75 milijonów. Liczba szynkowni, w których się jedynie tylko *gin* i *whiskey* sprzedaje, daleko jest większa niżeli wszystkich miejsc, w których się sprzedają artykuły żywności, jakoto: mięso, chleb, leguminy i t. p. Anglicy, którzy zwykli używać porównywającej statystyki, wyrachowali, że 25 milijonów gallonów gorących trunków, które się corocznie w Anglii spotrzebują, zapełniłyby jezioro głębokości trzech stóp, długości 84, a szérokości 60 mil (rozumie się angielskich, których 5 jednę niemiecką stanowi).

Ksiądz Mathew przedsięwziął wysuszyć to niewyczerpane źródło zbrodni i występków. Wiele już dopiął i do tego doprowadził, że skutki trudów jego dały się uczuć ministrowi skarbu. Rząd angielski był zmuszony wyznać w parlamencie, że postępy titotalizmu są jedną z przyczyn niedoboru w dochodach państwa. Na to odpowiada apostoł wstrzemięźliwości: »Jeżeli dochód z wódki umniejsza się, to umniejszają się i występki; jeżeli kasy wypalających gorzałkę, będą próżne, to razem przytem więzienia i domy szalonych opróżnieją, jeżeli się zamkną karczmy, zamkną się i domy lichwiarzy.«

Pięć do sześciu milijonów ludzi przysięgło ojcu Mathew, oprócz wody i herbaty nic innego nie pijać. Czy też wszyscy dotrzymają swego przyrzeczenia? Nie wiemy, wszelakoż powątpiewamy. Jeżeli liczni z pomiędzy nich nie nadwerężą ślubu przez rok lub przynajmniéj przez sześć miesięcy, czyliż i w tém nie znajduje się już rzeczywista korzyść? Poprawa mnóstwa pijaków, czy ona ciągle stateczna, czy tylko czasowa, zawsze jest dowodem ogromnych trudów, poświęcenia się i wielkich zasług apostoła téj nauki dla dobra ludzkości. Skutki titotalizmu będą zawsze nieocenione, wielkie i zbawienne. *D. Zubr.*

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochanskiego, wyszedł nr. 49ty i obejmuje: 1) Jeszcze słowo o ślimakach rolnych i sposobie ich gubienia. 2) Niektóre uwagi i doświadczenia gospodarskie i rolnicze. 3) Jaki koń ma być użyty do poprawienia ras naszych koni, wschodni czy zachodni? (Ciąg dalszy.) 4) O nabrzmiewaniu wymienia i zranionych cycach u krów. 5) O sporyszu i jego szkodliwości zdrowiu ludzkiemu. 6) Wiadomości handlowe: Z Rzeszowskiego z nad brzegów Wisłoka i Sanu, dnia 15 listopada r. b. 7) Raporta handlowe, od 25 listopada do 1 grudnia: Targ na woły we Lwowie. Ceny produktów we Lwowie. Z okolic Tarnopola 22 listopada r. b. Z okolic Kołomyi 24 listopada r. b.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 25ty i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Lekarz magnetyczny, wyjątek z pamiętników pana Bolesty, przez Józefa Dzierzkowskiego. 2) Teatr. 3) Uwiadomienie.

Biblijoteki naukowego zakładu imienia Ossolińskich Tom IX zawiera: Krótki rys dziejów i spraw Lissowczyków, przez Maurycego hr. Dzieduszyckiego. c. d. — O piérwszych zaborach Wariagów na ziemi lachickiej i o grodzie Czerweńsk, przez Kazm. hr. Stadnickiego (rozpr. III). — Zdanie sprawy z czynności Zakładu z r. 1843. — Rozmaitości literackie. Krótki rys życia Ign. hr. Raczyńskiego, księdza arcyb. gniezn., przez ks. J. B. (Z wizerunkiem.) — Wznowiona wzmianka o IłJ, przez A. K. — Rękopisma księgozbioru Ossolinskich: Rękopisma do dziejów pol. Józefowicza kan. lwow., przez Alex. Batowskiego.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* nr. 28my zawiéra: August Platen, przez Paulinę z L. W..... — Urywki z piosnek Platena. — O mieszkańcach wschodniéj części gór karpacki. c. d. — Zarysy Syberyi. — Zajęcia się piśmiennicze pracujących w zawodzie naukowym, przez Hip. Skimborowicza.

Tegoż pisma nr. 29ty: Słowo życia, z części II, rozdziału 1go, który ma napis: Piérwszy człowiek i ród ludzki, przez Jana Majorkiewicza, Mazura. — O mieszkańcach wschodniéj części gór karpachich, przez A. W. (c. d.) — Kronika piśmiennicza polska: Athenaeum przez J. I. Kraszewskiego, tom III, oddział 4ty.

Z Wilna: JPanna Maryja Regina Korzeniowska, znana już z swoich prac historycznych, wydaje tutaj przekład sławnego Atłasu historycznego, jenealogicznego, chronologicznego i jeograficznego, Lesaża, z dodatkiem tablic dotyczących dziejów Polski, Rossyi, Czech, Węgier, oraz książąt pomorskich i kurlandzkich.

Kauczuk. Przy teraźniejszém upowszechnieniu kauczuku, nie będzie może od rzeczy, wspomnieć kilkę słowami o sposobie wyrabiania tegoż materyjału. Jest to jak wiadomo sok drzewa, które mianowicie w Brazylii i w Mexyku się znajduje, a osobliwie w piérwszym kraju w tak znacznéj ilości rośnie, iż tam całe lasy takich drzew spotkać można. Drzewa te są zwykle bardzo wysokie, a gałęzie zaczynają się dopiéro w wysokości 40—50 stóp. Rano przed świtem wychodzą liczne grona murzynów do lasu i nacinają tam drzewa, aby uzbiérać soku w naczynia. Ten sok — znany u nas pod imieniem kauczuku czyli *gummi elasticum* — wygląda zrazu jak mleko, a murzyni piją go nawet. Po krótkim czasie osiada on się i oddziela płyn wodnisty. Nasze kalosze bywają robione na miejscu w lesie z świeżego mlecznego soku. Gromady szewców ciągną z mnóstwem kopyt do lasu, naniecają tam ogień z pewnego gatunku orzechów, które z nadzwyczajnie gęstym dymem się palą, oblewają kopyta mlecznem sokiem kauczukowego drzewa, i trzymają je potém w dymie, w którym ten sok bardzo prędko tężeje. To oblewanie powtarza się często — 10, 12 razy — póki się cała masa dostatecznie twardą nie stanie. Poczém kładą się oblane tak kopyta na stronę, a gdy kauczuk zupełnie już ztwardniał, nadkrawywa się go z wiérzchu i wyjmuje kopyto. — Ztamtąd wywożą kalosze do zjednoczonych stanów, a ztąd bywają one w ogromnych masach po całym cywilizowanym świecie rozsyłane.

Praktyczna nauka moralności. Dziennik francuzki *»Courrier de l'Eure«* opowiada następujące zdarzenie, doniesione mu przez naocznego świadka. »Dnia 14 października, idąc z Louviers do Gaillon, wstąpiłem około południa dla wypoczynku do lasku, będącego przy drodze. Po krótkiéj chwili ujrzałem w dali czcigodnego kapłana, który postępując powoli drogą, czytał pilnie książkę; tuż za nim szedł jakiś obdarty, bardzo podejrzanéj postaci człowiek. Gdy obaj w dość głęboką dolinę zeszli, rzucił się rabuś na kapłana, zawoławszy: »Oddaj co masz pieniędzy, lub zginiesz!« — »Zleś się udał mój przyjacielu,« odparł duchowny nie tracąc wcale odwagi. »Ani ty pieniędzy nie dostaniesz, ani ja też nie zginę.« Lecwie to wyrzekł, uchwycili się obaj za barki, a po niedługiém pasowaniu się, padł

napastnik na ziemię i przygnieciony silną ręką kapłana, błagał rzewnie o przebaczenie. — »Wstań!« ozwał się zacny sługa boży, podając rękę łotrowi. »Jeźli cię nieszczęście i ubóstwo do tego kroku przywiodły, tedy weź tę sakiewkę z 22 frankami, i bądź odtąd uczciwym człowiekiem; a gdy cię Bóg poratuje, przypomnij sobie czasem moję zemstę i moje imię. Jestem proboszcz z Gaillon.« Poczém udał się spokojnie w dalszą drogę.

Nieszczęścia na morzu. Podróże morskie są daleko niebezpieczniejsze niż powszechnie sądzimy. Dowodem tego jest nadzwyczajna liczba rozbitych corocznie okrętów. Obliczono podług urzędowych wykazów, iż każdego roku, w przecięciu, 611 mniejszych i większych okrętów ginie, i 1500 ludzi staje się pastwą morza.

Nabożeństwo chińskie. Pismo *»Revue de l'Orient«* umieściło list pewnego katolickiego missyjonarza o religii Chińczyków, z którego następny wyjątek podajemy: Oprócz powszechnych bostw ma każda rodzina, każde rzemiosło, każdy stan, swoich właściwych bożków, które w tym zakréślonym obrębie pewien stały wpływ wywiérają i odpowiednim temuż obrębowi potrzebom i sprawom służą. Tak naprzykład, w razie posuchy, modlą się ludzie do bożka wód, aby otworzył chmury i spuścił deszcz na ziemię; jeźli zaś po kilkudniowych modłach i prośbach deszcz nie spadnie, chociaż wiele kadzideł i świętego papieru spalono, natenczas zamieniają się modły w urągowisko: »Złodzieju! wysłuchaj nasze prośby, lub oddaj cośmy ci w ofierze złożyli. Nasze hołdy podobają się twéj próżności i dlatego dajesz się prosić tak długo. Patrz jednak, ci którzy cię prosili, mają teraz kij w ręku. Ześlij deszcz na ziemię, albo...« Poczem chłostają bożka jak krnąbrne dziecko. Jeszcze dziwniéj obchodzą się z bożkami domowemi. Jeźli się interesa nie wiodą, lub nieszczęście jakie rodzinę dotknie, tedy spada wina na bożka, i bywa mu wnet sprawa wytoczona: zdejmują go z postamentu na którym stoi, odsądzają go od wszelkich zaszczytów i godności, skazują na wygnanie do jakiéj świątyni, gdzie się zwykle nieczynne i gnuśne bożki mieszczą, albo wypowiadają mu posłuszeństwo w następujący sposób: »Tyle i tyle lat modlimy się do ciebie, tyle i tyle funtów kadzidła spaliliśmy na cześć twoją, tyle i tyle razy padaliśmy każdego dnia przed tobą, straciliśmy ogromne sumy chcąc ci się przypodobać, a przecież nie przyniosło nam uwielbianie twojego bóstwa, ani za grosz korzyści. Oświadczamy ci zatem, iż nie chcemy już niczego więcéj od ciebie, i że się wszelkiéj twojéj łaski zrzékamy, i hojniejszego sobie bożka znajdziemy. Aby zaś po przyjacielsku się rozstać, czynimy ci te ostatnie nasze pokłony.« To powiedziawszy rzuca się cała rodzina twarzą ku ziemi, i na tém kończy się pożegnanie.

Wina angielskie. Łatwość transportu dała powód do ciągłego wysyłania owoców z okolic reńskich na targi londyńskie, gdzie te owoce największy odbyt mają. Przed niedawnym czasem przybyło tam w dwóch tygodniach kilka okrętów z Hamburga i Rotterdamu, naładowanych samemi winogronami, przezco cena tychże niesłychanie w Londynie spadła. Korzystając z małego cła przywozowego na świeże owoce, zaczęło już kilku spekulantów wyciskać sprowadzone winogrona i fabrykować w ten sposób tanie *»wina angielskie«*.

Pewna angielska karykatura przedstawia sir Roberta Peela biegnącego pędem za O'Connellem, wyobrażonym w postaci ptaka, któremu minister — jak owéj sroce w bajkach — chce nasypać soli na ogon. Lecz nadaremnie! Coś podobnego może się tylko na stałym lądzie udać.

Vendetta. Scena przed sądem w Paryżu. Rigaldi, korsykanin, brunet, ma oko czarne i kędzierzawą brodę, która jego twarzy groźną nadaje minę. Zapewnia iż jest człowiekiem najspokojniejszym w świecie, chociaż pewien mieszkaniec Paryża, imieniem Bonjeu, zanosi przeciwko niemu skargę, iż mu niewiedzieć za co, dał potężnego w nos szczutka. »Pomyślcież sobie panowie sędziowie,« — woła powód — »nie jestżeto niesłychaną rzeczą! Od dzieciństwa nie miałem zaszczytu znać tego tu pozwanego przezemnie pana, a który jednak przy piérwszem spotkaniu się ze mną, dał mi strasznego w nos szczutka! Nie jestże to obraza, którąby do szaleństwa przywieść mogła!« — Rigaldi: »Ja również nieznam wpana, ale jeszcze się bardziéj zdziwisz, skoro ci powiém, że umyślnie odbyłem podróż z Ajaccio do Paryża, aby ci dać tego szczutka.« — »Aby mi dać szczutka?! Ha, teraz muszę wyznać iż to nie tylko jest obrazą, lecz nawet zadziwiającą rzeczą!« — Prezes. »Rigaldi, czy to prawda iż wpan nieznasz oskarzyciela?« — Rigaldi. »Niezawodna prawda.« — Prezes. »Nie miałeś żadnego powodu być na niego rozgniewanym?« — Rigaldi. »Osobiście żadnego.« — Bonjeu. Osobiście, czy nie osobiście, cóż mnie do tego! Dotychczas mniemałem iż w Paryżu można iść sobie spokojnie drogą, a teraz przekonałem się że ta reguła nie jest bez wyjątku. Proszę posłuchać: Idę sobie jak zwykle bezpiecznie ulicą, a tu mi ktoś zachodzi drogę i pyta: Czy wpan jesteś panem Bonjeu? Tak jest, do usług, odpowiadam. — Pański ojciec zapewne zwał się także Bonjeu? — A juści mój panie. — Czy pański ojciec znajdował się w Ajaccio r. 1780? — Tak jest mój panie, bawił tam w godności krawca z Paryża. — Zatém pan jesteś synem pana Bonjeu, który mieszkał w Ajaccio? — Tak jest; czegoż wpan żądasz ode mnie? — Podnieś wpan głowę. — A toż na co? — Podnieś pan tylko; ot tak! i paf! — w téjże saméj chwili otrzymuję bolącego szczutka! Wołam o pomoc, zbiegają się ludzie, pytają co zaszło, a potém śmieją się i mówią: »To nic, ten jegomość dostał w nos szczutka!« — Rigaldi. »Tak się rzecz miała w istocie, podpiszę protokoł; a ponieważ jestem już zaspokojony, więc wracam do Korsyki.« — Prezes. »Nie wprzódy aż tocząca się tu sprawa będzie załatwiona. Dla czegoż wpan obraziłeś zupełnie sobie nieznajomego człowieka?« — Rigaldi. »Jestto rzecz bardzo prosta, i spodziéwam się iż sąd pochwali moje postępowanie. Zeszłéj zimy przeglądając moje familijne papiéry, znalazłem pismo mojego ojca: »Do mojego syna. Dnia 16 kwietnia 1786 otrzymałem od mojego majstra, krawca Bonjeu z Paryża, wówczas zamieszkałego w Ajaccio, — szczutka. Bonjeu odjechał, nie miałem sposobności, com otrzymał oddać. Ty mię rozumiesz ukochany synu, i wiész co to znaczy.« — Skorom to przeczytał, zaraz nazajutrz odpłynąłem do Marsylii, ztamtąd przybyłem szybkowozem do Paryża, w prefekturze dowiedziałem się że stary Bonjeu umarł, lecz że jego syn żyje. Po długiem szukaniu spotykam go szczęśliwie na ulicy i stosownie do powinności, oddaję mu w nos szczutka, danego memu ojcu przez jego ojca. Tym sposobem spełniłem należną *Vendettę* i powracam spokojny do ojczyzny.« — Mimo to wszystko, sąd policyi poprawczéj, nie mogąc się stosować do zwyczajów korsykańskich, skazał Rigaldego na 25 franków kary pieniężnéj i zapłacenie kosztów.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Frańciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.